

Rosenberg, syn i ur. 10.1916 w  
Maria Rosenberg, z domu Zamberman, córka i Heleny, ur.  
16.10.1920 w

© ARCHIWUM HISTORICZNE

Maria Rosenberg: Jestem Polką pochodzenia żydowskiego. Ojciec miał biuro pisania podań w . W 1939 roku, gdy wkroczyli Niemcy zaczęły się szykany w stosunku do Żydów, spalono synagogę. Ciagniono mnie jako młodą dziewczynę na roboty. 5 listopada postanowiłam z przyjaciółmi uciekać. Zaczęło być bardzo źle, zdaliśmy sobie sprawę, jaki jest stosunek hitlerowców do Żydów.

Przyszliśmy na granicę rosyjską do pewnego chłopca, trochę od nas wziął pieniędzy, za dużo ich nie mieliśmy, i w nocy przez gąszcze, w okolicach Tarnobrzegu, przeprowadził nas przez granicę. Tam trafiliśmy do ukraińskiego chłopca, który nas za darmo przenocował a o 4.00 rano wziął na furmankę i zawiózł do Rawy Ruskiej. Był przewoźnikiem, znał teren. Ostrzegł nas, że w drodze możemy spotkać Rosjan i gdyby tak się stało mieliśmy się położyć na furmance i siedzieć cicho, bo Rosjanie wywożą na wschód lub wsadzają do więzienia. Dojechaliśmy szczęśliwie do Rawy Ruskiej. Stamtąd do Lwowa.

We Lwowie nie znaleźliśmy nikogo, poza moją koleżanką, która uciekła tydzień przede mną. Trafiliśmy do takiej starej żydowskiej rodziny, ale bardzo życzliwej, która wzięła do siebie dwunastu nieżeńców. Był tam jeden duży pokój, kuchnia i służbówka. Gotowali nam za grosze obiady. Było bardzo ciężko, bo ani rodziny, ani pieniędzy. Tam poznałam męża.

Poszłam do pracy. Było to coś w rodzaju biura handlowego. Przyjęcie do pracy było dość skomplikowane i bardzo niesmaczne, nie chcę opowiadać. Przyjmował Rosjanin. Przyjął mnie w efekcie, bo nie mieli tak bardzo ludzi do pracy. Byliśmy na tym terenie

obcy, ale skoro już tam trafiliśmy, a oni potrzebowali ludzi do pracy, do sklepów, to przyjęli.

Nie mieliśmy żadnych dokumentów. Mąż miał dowód osobisty, ale ja miałam tylko metrykę. Nie pamiętam, czy byliśmy zameldowani. Mieszkaliśmy na ulicy Batorego.

Rosenberg: Urodziłem się w październiku 1916 roku. Rodzina nasza składała się z pięciorga braci i jednej siostry. Przed wojną mieszkaliśmy z całą rodziną na Śląsku w Pszczynie. Do wybuchu wojny 1939, szczególnie w ostatnim okresie przed wojną, było u nas bardzo nerwowo. Ludzie sobie zdawali sprawę, że wojna już tuż, tuż. 1 września nie zorientowaliśmy się, zresztą jak wszyscy inni, że to już jest wojna. Widzieliśmy walkę dwóch samolotów nad Pszczyną, mówiło się, że to ćwiczenia. A to już była wojna.

Zabrały się nas cztery rodziny i na takim śląskim wózku, jaki był na każdym podwórku, położyliśmy w pośpiechu byle co i poszliśmy pieszo. Przenocowaliśmy w Oświęcimiu i nazajutrz skoro świt poszliśmy dalej. Kolejną trafiliśmy do Bardomia tam ojciec miał przyjaciela.

Przyszliśmy wieczorem, w nocy doszedł cały front niemiecki. Zabrali wszystkich mężczyzn i zgrupowali na rynku. Tam uformowali z nas szeregi. Pamiętam, że żołnierze, którzy nas konwojowali, to byli Bawarczyści. Prowadzili nas z Bardomia do Papierni. Tam nocowaliśmy. Gdy nas wpuszczono do budynku, podniosły się krzyki w niebogłosy, straszne krzyki pierwszych wchodzących ludzi. Musieli powyrzucać wszystko z kieszeni. Niemieccy żołnierze znęcali się, bili kolbami, aż potem, na szczęście ja byłem w dalszej kolejności w tym pochodzie, jakoś się uspokoiło. Przenocowaliśmy. Nazajutrz zaprowadzili nas do Zawiercia. Był tam stworzony obóz na terenie fabryki, na wielkim podwórzu fa-

bryki. Byłem tam z starszym bratem. Postanowiliśmy uciec. Udało nam się to całkiem po prostu.

Gdy trafiliśmy do Będzina, mogliśmy się tam zatrzymać, zastaliśmy tam taki stan. Niemcy już byli. Zaraz jak weszli podpálili w Będzinie dziednicę żydowską, tam gdzie była synagoga, bożnica. Wszystkich ludzi, którzy wyskakiwali z tego pożaru, wszystkich Żydów zastrzelili. To była masakra. My przyglądaliśmy się temu wszystkiemu. Postanowiliśmy uciec do Rosjan. Pojechaliliśmy z bratem nad granicę, nad San. Ludzie przechodzili przez San wpław, innych przeprowadzali miejscowi. Jeden Ukraińiec pasł tam konie, mój brat zaczął z nim rozmowę, jak przejść granicę. I on nam poradził, żeby iść prosto, a jak zobaczymy, że niemiecki kontrolujący granicę wejdzie w wysokie porosty przy samej rzece, trzeba tam zejść i porozmawiać z nim, On po prostu będzie żądał pieniędzy, trzeba dać mu w łapę. Obok na Sanie był rozebrany most. Jak on powie, żeby iść, nie trzeba się bać i przejść most. Most był rozebrany w środku, przejście było bardzo niebezpieczne, trzeba było skakać. Z naszej strony widzieliśmy, co tam się działo: co pewien czas ludzie przechodzili, Rosjanie strzelali w górę, krzyczeli, żeby ludzie się zatrzymali, potem zabierali tych ludzi i tak w kółko.

Poszliśmy z bratem, mieliśmy kilka srebrnych dziesięciozłotówek, daliśmy strażnikowi. Okazało się, że to był Ślązak i umiał po polsku. Powiedział: - "Idźcie, my nie będziemy tego widzieli. Przechodźcie na tamtą stronę." Przeszliśmy z wielkim trudem ten most. Po drugiej stronie już Rosjanie lecieli, strzelali w powietrze. Brat się opóźnił, bo nie poszedł tą samą drogą co ja, trzymał się bokiem mostu. Rosjanin kazał mi się położyć na ziemi. Nie zrozumiałem go dokładnie, ale pokazał. Potem z bratem zabrał nas na ich wartownię. Tam spisali wszystko

i nas puścili. Spisali to, co mówiliśmy.

Pojechaliśmy ciężarówką do jakiejś miejscowości, której nazwy nie pamiętam, i stamtąd dopiero do Lwowa. Było to w pierwszych dniach października. Znaleźliśmy się we Lwowie.

Tam szukaliśmy pracy. Dostałem pracę jako pracownik fizyczny w magazynie żywnościowym. Trzeba było rozładowywać wagony i rozwozić towar. Kierownikiem był Ukraińiec, w każdym razie z nami rozmawiał po ukraińsku. Magazyny nazywały się miskhan-gsztorg. Misk to miejskie po ukraińsku a hanusztorg - handlowe. Oni organizowali sieć handlową. Praca była bardzo ciężka, ale człowiek był zadowolony, że ma pracę, bo mówiło się, że jak się pracuje, to nie będą wywozić.

Chcieli, żeby brać ich paszporty. Jak pamiętam, bardzo dużo ludzi odmówiło. My też nie chcieliśmy. Tam gazie mieszkaliśmy, była moja żona z bieżącami, wszyscy się nazywali bieżącami - uciekinierami. Między ludźmi różnych narodowości nie czuło się stędy problemów. W takich czasach wszyscy czuli się jaanakowo. W pewnym sensie wszyscy uciekinierzy, bieżęcy, to była jakaś rodzina. Rozmowy, spotkania na ulicy z ludźmi, jeden drugiemu doradzał co i gdzie. A miejscowa ludność? My trafiliśmy na bardzo porządną rodzinę, to znaczy na dwoje starszych ludzi, którzy żalowali nas bieżęców.

M.R.: Stosunek do bieżęców i do miejscowych był różny. Nie jednakowy. Z opieką władzy nad bieżęcami nie zetknęliśmy się. O komisjach radziecko-niemieckich kwalifikujących na wyjazd do Polski centralnej pod okupacją niemiecką wiedzieliśmy, ale nie zapisywaliśmy się. Wrócić chcieliśmy tylko do Polski. Do Niemców nie. Do okupacji w ogóle nie. Wiedzieliśmy, czym dla Żyda jest okupacja hitlerowska i w ogóle to u nas nie wchodziło w grę. Wiedzieliśmy, że to śmierć. Wierzyliśmy, że jak się oku-

pacja skończy, wrócimy do domu. O Rosji wiedzieliśmy, że jest komunistyczna, wydawało nam się, że to kraj, w którym jakoś tymczasem da się żyć, że jakoś przeżyjemy. Okazało się zupełnie inaczej.

.R.: Religia w pierwszym okresie nikt się specjalnie nie zajmował, to znaczy nie było żadnych prześladowań. Nie było to na pierwszym miejscu. Ja tak sobie myślę. Władza za bardzo była zajęta sobą, porządkowaniem terenu i tak samo my byliśmy bardzo sobą zaję<sup>ci</sup>, żeby jakoś przeżyć. Żeby jakoś żyć, żeby jakoś ułożyć się gdzieś do spania - jak już się miało jakiś kąt to było bardzo dobrze.

M.R.: Nie należeliśmy do religijnej formacji. Byliśmy, jak postępową młodzież przed wojną, trochę ateistyczni. Nie stykaliśmy się więc z tym problemem. W swoim środowisku nie mieliśmy pobożnych ludzi. Mąż rozpoczął pracę fizyczną zaraz po maturze, nie był robotnikiem, pochodził z rodziny mieszczańskiej. Nie miał stałej pracy.

Ludzie, u których mieszkaliśmy, chyba byli pobożni. Tak. Chodzili w sobotę do synagogi, ale byli postępowi. Rytuałów w sobotę nie przestrzegali. Chodzili tylko rano do synagogi. Czy władza w jakiś sposób reagowała na żydowskie praktyki religijne, nie możemy powiedzieć. Nie zetknęliśmy się w tym. Zupełnie tym problemem nie żyliśmy.

Proponowali nam paszporty radzieckie, ale odmówiliśmy. Nie chcieliśmy wziąć ich paszportów. Musieliśmy się ukrywać, po piwnicach, bo co noc wywozili.

My chcieliśmy mieć obywatelstwo polskie. Oni namawiali do brania paszportów radzieckich i przyjmowania obywatelstwa radzieckiego. Uciekinierów, którzy przyjęli, najczęściej zostawiano, nie brano ich. A my nie wzięliśmy. Wtedy nawet nie bardzo wie-

dzieliśmy, co oznacza przyjęcie paszportu radzieckiego. Owszem wiedzieliśmy, że gdybyśmy przyjęli, byłibyśmy bezpieczni, ale poza tym nie bardzo wiedzieliśmy. Chcieliśmy zostać przy naszym obywatelstwie - nawet do głowy nam nie wpadło, że można inaczej. Człowiek wtedy myślał, że potrwa to pół roku i wrócimy do domu. Że to chwilowe, przejściowe.

.R.: Rosjanie chcieli, żeby ludzie brali paszporty i wyjeżdżali w głąb Rosji do kopalń, do innych miejscowości. A przeważnie ludzie nie chcieli. Ja też nie chciałem brać paszportu radzieckiego, bo mieliśmy nadzieję wrócić.

Ale też dużo ludzi wyjeżdżało, bo oni wzywali też do wyjazdu po prostu na różne roboty. Tak oferowali. W głąb Rosji. Ogłaszali, żeby jechać do Donbasu na przykład, przyrzekali fantastyczne warunki. Dawali oferty pracy, przedstawiali je jako bardzo dobre oferty. I niektórzy ludzie na to poszli i jechali. Potem... znałem takich ludzi, to była straszna historia. Miejscowych chyba to nie dotyczyło.

M.R.: Gdyby zgłosił się Iwowianin, pewnie by go wzięli - nie mieli ludzi do tak prymitywnej pracy, do strasznych warunków w kopalniach Donbasu. Ale ludzie ci byli osiadli tu. To była zupełnie inna sprawa. A my byliśmy bez mieszkań, bez domu, bez wszystkiego.

Chyba w kwietniu czy maju 1940 było to ogłoszenie, że wszyscy mają się zgłosić po paszporty. Ukrywaliśmy się do 15 czerwca, wtedy zaczęto masowo wywozić ludzi. Nie tylko my zresztą. Piwnice były pełne, po dziesięć, po dwanaście, po piętnaście osób. Chcieliśmy przetrwać, żeby nas nie wywieźli.

Przez jakieś dziesięć dni ukrywaliśmy się co noc w innym domu po piwnicach. Była nas taka szóstka. Straszny to był okres. Baliśmy się przychodzić do tego starszego małżeństwa, żeby ich

nie narażać. Przylatywaliśmy tylko coś zjeść. Do pracy już nikt z nas wtedy nie chodził.

.R.: Jak zaczęli ludzi wywozić powstała panika, każdy wiedział, że przychodzą w nocy i wywożą. Wtedy mój kierownik w pracy też powiedział: - "Ty się nie masz czego bać, bo pracujesz. Ludzi, którzy pracują, nie będą wywozić." Wywózki były planowe. Okazało się, mieli plan dokładnie od do i ani wpiery, ani potem tego nie robili. Nas wywieźli w ostatnim dniu planu. Nazajutrz już ich nie było. Ale my się ukrywaliśmy, tych, którzy od początku nie byli przygotowani, wywieziono szybciej.

M.R.: Trzydziestego, gdzieś o drugiej wzięliśmy ślub, a o godzinie dwunastej w nocy przyszło trzech enkawudzistów, z listą, mieli na niej wszystkich zameldowanych. Byli tam już raz wcześniej, jeszcze jak ukrywaliśmy się w piwnicy. Szukali uciekinierów, bieżenców. Nikogo wtedy nie było, więc kiedy teraz przyszłi zgarnęli wszystkich, którzy byli. Niektórzy jeszcze się ukrywali. My już zrezygnowaliśmy. Ludzie powiedzieli, że to już koniec, tośmy pierwszą noc wtedy przenocowali w domu. Zabrali nas jakieś 7 osób. Do komisariatu. I z tego komisariatu na bocznicę kolejową, gdzie stały przygotowane już wagony.

Rewizji nie było. Kazali się zabrać i już. Dlaczego zabierają nie mówili. Ludzie płakali. A oni tylko: - "Chodźcie, chodźcie, nic nie będzie! - mówili po rosyjsku - chodźcie tylko na komisariat, nic nie będzie." Żeby zabrać rzeczy nie sugerowali, ale my wzięliśmy. Tylko w zasadzie nic nie mieliśmy. Garnuszek, plecak, kilka koszul. Każdy miał pod ręką tłumoczek. Nie żyliśmy tam przecież, nie byliśmy zagospodarowani. Byliśmy uciekinierami. - "Szybko, szybko." poganiali. I to było blisko, bo na Akademickiej. Znaleźliśmy się na komisariacie, gdzie był płacz, gdzie było pełno ludzi. Chyba nad ranem zawieźli nas do

bydłęcego wagonu.

Były nary, zrobione z jednej i drugiej strony i tak pokotem ludzie leżeli, na parterze i na piętrze. Małe zakratowane okienko, kibel. Całe małżeństwa, krzyk, płacz. Zasuńli i zaryglowali drzwi, wartownik stał pod drzwiami. Staliśmy na tej stacji cały dzień i całą noc. Jedzenia nam nie dali, picia nie dali, nic. W wagonie byli chyba sami uchodźcy, gdzieś 50 osób, więcej niż 50. I większość Żydów. Była część Polaków, chrześcijan znaczy się, ale większość była Żydów. Każdy miał swoje miejsce i na podłodze i na narach.

Jak ruszyliśmy, to dawali nam zupę w nocy. To była metoda, żeby nas maltretować, przecież mogli dawać w dzień. Zupę dostawaliśmy w trakcie jazdy. Rano przywozili kipiatak. Tam jest tak przyjęte, na stacjach kolejowych jest kipiatak.

Jechaliśmy dwa albo trzy tygodnie. Od czasu do czasu otwierali drzwi i można było wyjść, ale kiedy pierwszy raz, nie pamiętam. Czy jeszcze na terenie Polski? Jednak wydaje mi się, że na terenie Polski w ogóle nas nie otwierali, ale nie jestem pewna.

Raz pamiętam umyliśmy się trochę, to było tragiczne - bez mycia. Dorwałyśmy się do miejsca, gdzie brali wodę. Oni krzyczeli a my stałyśmy, jedna zaskaniała drugą i trochę się myłyśmy. Czasem można było coś kupić do zjedzenia. Miejscowi przyносили i sprzedawali. Przychodzili z jedzeniem jak przekupnie. Jedzenia, żeby nam dawali - nie. Raz pamiętam, rzuciłam kartki, żeby napisać, że nas wywożą. Jakiś miejscowy wziął. Czy je wrzucił - nie wiem.

.R.: Cały czas pilnował nas konwój. Było ich po dwóch na wagonie. Wszystko obstawione. Natomiast rozmowy z nimi nie było żadnej. Niechętnie rozmawiali, w ogóle było to gadanie do lampy.



Mieli swój rozkaz, a rozkazy spełniali, więc nie było z nimi rozmowy.

M.R.: Nie stawaliśmy nigdy na samej stacji. Były to bydłące wagony - nazywały się eszelony i stawiali je gdzieś na bocznicach. Tak że nie wiem, czy dwa, czy trzy razy udało nam się przeczytać nazwę stacji. Ale było to już w głębi Rosji.

Mnie się wydaje, że oni nas nie wiezli prostą drogą. Nie wiem dokładnie, ale to mi właśnie utkwilo w pamięci - że wiezli nas okrężną drogą. Bo wysadzili nas w Kotlarskim obwodzie w Archangielskim województwie, a wiezli nas prawie do granicy Rosji z Azją. Więc czy nie było miejsc, czy nie mieli ustalonej trasy... Albo żeby nas trochę zmęczyć.

W naszym wagonie wszyscy ludzie przeżyli, choć to było bardzo męczące. Żadko nas wypuszczali - żeby na przykład fizjologiczne potrzeby załatwić, a nie na tym kiblu. Ludzie byli strasznie zmęczeni tym wszystkim.

Pociąg był bardzo długi, bardzo długi. Chyba w drodze odcepiali wagony, nie wszystkich wiezli w jedno miejsce. Pamiętam ten ruch, odcepienie.

Zajechaliśmy do Kotłasu, a właściwie za Kotłas. Nie pamiętam, jak się nazywała ta stacja, na której nas wysadzono. Był to ostatni wtedy punkt kolejowy na północy. Łało jak z cebra. I wtedy dali furmaneczki i kazali włożyć na nie wszystkie tobołki. Furmankami przyjechali Rosjanie z jakiegoś kolchozu. I tak my pieszo, a nasze, bardzo dla nas ważne tobołki - na furmankach. Były tam staruszki, te, z łaski, posadzili na furmanki, a reszta z dziećmi, szła cały dzień. Ile kilometrów - nie wiem. W posiołku stały dwa budynki, w środku były tylko prycze, jedna przy drugiej. Takie nary, jedna przy drugiej, tak że ledwo można było przejść. Na jednej narze spaliszmy we trójkę, bo jedna

koleżanka nie miała się gdzie podziąć. Te baraki, które zasta-  
liśmy były puste. Był to chyba nowo zorganizowany posiołek.  
Baraki były w zasadzie zbudowane, bardzo prymitywnie z desek,  
ale w środku tylko prycze były, nic więcej. - "Jak sobie zbudu-  
jecie, to będziecie mieszkać" - mówiono nam. Potem budowaliśmy  
baraki, z przedziałkami dla rodzin, ściankami. Ale to już póź-  
niej. Posiołek nazywał się Sewernikałczuk - Kotlarski Rejon,  
Archangielska Obłast.

Pracowaliśmy w lesie jako drwale, od początku. I kobiety i  
mężczyźni, razem. W brygadzie mężczyźni spuszczały drzewa, a  
kobiety siekierą je obrąbywały. To było straszne, w strasznym  
mrozie i pamiętam, że największym awansem mojego życia było, kx  
kiedy już wiosną, awansowałam na sprzątaczkę baraku. Przyjeź-  
dzali tam do pracy rosyjscy kołchoźnicy, brudni jak cholera.  
Oni spuszczały drzewo rzeką - spławem. Trzeba im było codzien-  
nie metr drzewa narabac, napalic, wyszorować im podłogę - to  
chyba był największy awans mojego życia. Nie musiałam chodzić  
przy trzydziestuśmiu stopniach mrozu do lasu, bo do 38 stopni  
chodziliśmy do lasu. Dopiero od 40 stopni nie wychodziliśmy  
do pracy. I człowiek przychodził z odmrożoną brodą, nosem.  
Dziennie pracowaliśmy - nie wiem, ile godzin, to nie było okre-  
ślone. Rano nas wyganiały, w międzyczasie rozwozili nam kipia-  
tok i wracaliśmy jak była szarówka. Oczywiście pojście od rana  
do wieczora jest względne, bo były tam białe noce. Ale ja wiem,  
może 10 godzin pracowaliśmy?

Nadzór nad nami pełnili ci co przyjmowali pracę. Ale nad  
nimi był enkawudzista 7 komendant całego posiołku, komendant  
w mundurze. Cały czas chodził z pistoletem, do pomocy miał cy-  
wilów. Chyba byli to zesłani kryminaliści - byli straszni. Oni  
właśnie gonili do roboty, pilnowali przy robocie. Komendant

codziennie sprawdzał tylko, czy wszyscy wyszli do roboty, a jego pomocnicy naganiali rano, wbiegali i wyganiali wszystkich. Czy ktoś był chory, czy nie chory.

Później był tam lekarz z Poznania, który zrobił taką izolatkę i w razie ciężkiej choroby kładł tam chorych. Był tam razem z żoną. Już wtedy byli po pięćdziesiątce, nam się wydawali starszymi ludźmi. Przeuroczy człowiek. Nazywał się Jasieński, Jasiński, Janiszewski, Staniszewski - nie pamiętam. Żył w takich samych warunkach jak my, początkowo też pracował jako drwal. Potem został lekarzem.

Jakieś 80 do 90% w pasiołku to byli Żydzi. Byli też Ślązacy z powstania, była oddzielna brygada, też z nami razem, ale byli też z Poznania. Ich oddzielili jakoś. Mieli oddzielny barak. W jednym baraku były rodziny, w drugim samotni, oni byli samotni. W naszym rodzinnym baraku to znaczy jak już zbudowano, były jakby hotelowe pokoje. Ci ze Śląska byli też samotni i mieszkali w baraku dla samotnych. W baraku dla samotnych mieszkała też Marysia Meisner.

W pasiołku nie było nikogo z miejscowych, prócz nadzoru. Był ich kucharz, był kierownik sklepu z żoną, to byli ich ludzie. No i bezpośredni nadzorcy. W sumie kilkanaście osób.

W okresie zimowym, kiedy trwał wyrąb lasu, przyjeżdżali Rosjanie, mieli też oddzielny barak. To byli też zesłańcy, nie ludność rdzenna. Traktorzyści wozili ich traktorami, wywozili drzewo. Ale kontakt między nimi a nami był żaden. Tylko tyle, że funkcjonowaliśmy obok siebie. Możliwości żeby nie pracować nie było żadnej. Komendant codziennie rano chodził po pokojach i wyganiał do roboty. Nie<sup>↑</sup>wyjście do pracy groziło więzieniem, nie<sup>↑</sup>dostaniem obiadu, niemożnością zakupu swojego chleba. Był taki, który powiedział, że nie pójdzie do pracy. Wsadzili go

do więzienia i siedział trzy miesiące. w Kotłasic. Kilku postawiono więzienia. Byli wśród nas dwaj czy trzej pobożni Żydzi, którzy w soboty nie chodzili do pracy, modlili się. To była straszna tragedia. Komendant stał nad nimi, potem ich zamykał, maltretował, krzyk, ryk a oni i tak nie szli. Po jakimś czasie oni w pewnym sensie wygrali. Jednemu dano pracę - rozdawał kłopotek to znaczy gorącą wodę, a drugi nie pamiętam. To byli bardzo starzy ludzie z chorobami.

Teraz sobie uprzytomniłam, że oni nie jedli. Jedli tylko chleb. Potem, jak kto miał trochę kartofli, to im dawał, żeby sami mogli sobie ugotować. Nie chodzili jeść do stołówki. Poza nimi wszyscy chodzili, nawet ci co byli pobożni. A oni nigdy nawet tam nie weszli. Chcieli jeść tradycyjnie, więc jedli to, co sami mieli. Mieli takie patriarchalne głowy, tacy bardzo kulturalni ludzie, spokojni. I wszyscy tak starali się im pomóc, litowali się nad nimi. Potem, latem, gdy chodziliśmy na maliny, jagody, grzyby, w naszym obrębie pozwalano nam na takie wycieczki to już mieliśmy inne życie. A nasi pobożni mogli się tym odżywiać.

Lato tam trwa bardzo krótko, tylko dwa miesiące, może trzy. Jest wtedy bardzo gorąco, dużo komarów i takie duże muchy, co jakby człowieka gwoździami kłuły.

.R.: My wszyscy byliśmy traktowani jako Polacy, oni nie robili różnic narodowościowych. Nawet wyzywali nas od Polaków. Tam, w tym okresie, nie zetknęliśmy się z żadnymi podziałami narodowościowymi - żeby inaczej traktowali Żydów i nie Żydów, wszyscy byliśmy traktowani jako Polacy. No tyle, że było tych dwóch pobożnych.

M.R.: Rano był krzyk, larum, chory, zdrowy musiał iść do roboty, inaczej nie jadło by się. Rozdział żywności odbywał się w sto-

łówce, dostawaliśmy zupe, staliśmy z miskami. Rano coś i po powrocie z pracy też. Potem otworzyli nam sklepik, dostawaliśmy jakieś pieniądze za pracę. Bardzo marne pieniądze. Kupowaliśmy za nie chleb, to znaczy określoną ilość chleba, nie tyle ile się chciało. Kupowało się chleb, potem już trochę cukru, co jeszcze, a... talerz, który jeszcze mam, dwa talerze kupiliśmy, jeden mam do dnia dzisiejszego.

W odległości około 10 km od nas była wioska zesłańców Rosjan, ale oni już gospodarowali sami. Człowiek był młody i zdrowy jeszcze, to kiedy nikt nie widział, chodziliśmy tam. Trzeba się było czołgać z pół kilometra, nie wolno było tam chodzić. Komendant zebrał wszystkich i powiedział, że on wie, że ludzie tam chodzą i że jak złapią którego, to posadzą do więzienia. Miejscowym groziło to samo za kontakt z nami. Komendant i jego pomocnicy mieli swoje macki wszędzie, mieli donosicieli. w ogóle mieliśmy zabronione się oddalać. Ale ludzie chodzili, głód był straszny. Chodziliśmy tam, żeby zamieniać to co mieliśmy jeszcze z ubrania na kartofle. Mnie też się udało ze dwa razy tam iść.

Początkowo nie mieliśmy w czym chodzić do lasu. To było najgorsze. Śnieg do pasa, i tak rękawice nam dali, potem nam dali kufajki, bo nie można było w ogóle pracować. Nie ramiętam, czy dali coś na nogi.

Najpierw trzeba było przynajmniej metr śniegu udeptać, przy każdym drzewie, żeby ciąć jak najniżej, żeby nie zostawały kikuty. Cięliśmy stolarską piłą ręczną i człowiek zgięty cały czas. Ludzie przecież tego nie byli nauczeni. Dopóki nie wzięliśmy, gdzie drzewo polecie dokładnie, jak podcinać itd. to było dużo tragedii - jak drzewo przy podcinaniu rozerwało się na pół, to tak trzasło człowieka. Po wycięciu karczowali-

śny te pnie, to była najtrudniejsza praca, bo wszystko ręcznie, żadnej mechanizacji nie było. Były tam dzieci, ale mało i to maleńkie. Nie było dzieci takich do pracy. Pamiętam tylko maleństwa. Nie urodziło się żadne dziecko. Ja wyjechałam stamtąd w ciąży, ale tam się nie urodziły.

W trakcie pobytu tam zagospodarowaliśmy to miejsce, sadziliśmy nawet coś sami, łopata kopaliśmy ziemię. Ktoś na przykład dostał troszkę nasion, ale to było już w 1941 roku, tośmy sobie i kartofli trochę posadzili, ale z tych kartofli nie korzystaliśmy już.

Wiadomości ze świata trochę mieliśmy, gazet nie było, ale mieliśmy prawo do korespondencji. Od czasu do czasu przychodziły listy. Wysyłane listy musieliśmy oddawać komendantowi nie zaklejone, nie wolno było zaklejać. Czy były ograniczenia w pisaniu listów, nie pamiętam, bo bardzo mało ludzi pisało. Paczki też przychodziły od czasu do czasu. Jak ktoś miał znajomych, to dostawał paczki. My dostawaliśmy od brata męża z Łucka. To było w zimie. Ale to wszystko były bardzo rzadkie wypadki. Przez ponad rok czasu pobytu tam ja wiem, czy dostaliśmy trzy listy, może cztery, i może z dwie paczki.

.R.: Więc wiadomości ze świata mieliśmy jedynie z korespondencji, poza tym nic nie wiedzieliśmy. Jak wybuchła wojna rosyjsko-niemiecka, nic nam nie powiedziano. Dopiero, ktoś przyszedł do komendanta i temu człowiekowi komendant powiedział, że jest wojna. Ludzie nawet początkowo nie wierzyli. Było to po tygodniu czy dwóch od wybuchu wojny.

Propagandy żadnej nie pamiętam. Komendant wyzywał nas tylko od najgorszych, a jego pomocnicy traktowali nas jak bydło. Nie rozmawiali z nami normalnie. Wyzywali najgorszymi słowami.

Pierwszych słów rosyjskich, jakich się nauczyłem, to były

najbrzydsze słowa.

Na przykład w stołówe. Kucharz był takim typowym Rosjaninem z czasów carskich powiedzmy, z zakręconym wąsem, starszy pan. Jak ludzie ustawiali się po zupę, mówił do każdego: - "Ty przywyknij dziełowiek, kak nie przywykniesz, tak zdochniesz." Zawsze tak mówił. Codziennie. Przecież nie było dużo zupy, ludzie chcieli więcej. Była to tak zwana ucha, czyli rosyjska zupa. Normalnie to przecież bardzo dobra zupa, ale tu ~~ja~~ była woda i kawałki głów z dorsza, to znaczy z "treski", tak tam mówili.

**M.R.:** Biegunka strasznie szalała. Był okres, że panowała dezynteria. Był też tyfus. Było dwóch takich braci, architektów z Warszawy, Dzik-Dzikowscy się nazywali. Jeden zachorował na dezynтеріę, a drugi na tyfus. Leżeli w baraku. Bardzo często ludzie chorowali na zapalenie płuc. A biegunka była straszna. Leczył nas tylko ten doktor z Poznania, z takim poświęceniem. Potem mieli nawet jakieś lekarstwa. Jak mąż zachorował - była tam aspiryna, takie podstawowe środki. Tych, którzy zachorowali na tyfus, wywożono do szpitala, do Kotłasu. Śmierć nie była powszechna, ale były wypadki śmierci. Wywiezieni do szpitala nie wracali. Pierwszy okres był najgorszy. Potem jakoś lepiej - czy to runo leśne pomogło? Ludzie zaczęli trochę otrzymywać paczek. To też pewnie trochę pomogło. Ale ludzie bardzo chorowali, bardzo. Jak leżałam na zapalenie płuc, pamiętam te mokre prześcieradła, żeby powietrze było lepsze. I ta straszna biegunka, te wrzody, ze względu na zupełny brak witamin. Ludzie mieli czyraki na nogach. Myśmy też mieli. Straszne to było, nie gojące się wrzody na nogach. Następne to skorbut, bardzo dużo.

**.R.:** Gdy znalazłem się w szpitalu, długo <sup>1</sup>nikt nie wiedział, co mi jest. Potem dopiero postawili diagnozę.

M.R.: Mąż był bardzo silny, pracował dużo. Potem już w zależności od pracy można było zarobić więcej, to bardzo ciężko pracowaliśmy. W ostatnim okresie pobytu w posiołku, latem, kiedy się nie ścina drzew, czyściliśmy teren i paliliśmy. I pewnego razu, w początkach sierpnia, rano mąż nie wstał do pracy. Mówi: - "Wiesz ja nie pójdę dziś do pracy, ja się źle czuję." Ja zaczęła: - "Co ty się źle czujesz!", był bardzo zdrowy. - "Wiesz co, głowa mnie bardzo boli." Powiedziałam mu, że się pieści, ale mówię - "Leż, może się uda. Ja pójdę, to nie zauważą i zostaną." Poszłam do lasu, ale byłam bardzo niespokojna. Wróciłam, patrzę, leży czerwony, rozpalony niesamowicie. Poleciałam do lekarza i proszę go, że mąż coś tak mówi jakby od rzeczy, i jest taki... Lekarz przyszedł, zmierzył gorączkę, było 40 stopni. Co to może być? Ból głowy straszny, ale zostawił męża jeszcze w tym baraku, dał mi kalcyperyne albo aspirynę. W nocy mąż już nie spał, a nazajutrz ani ręka ani noga, nie mógł się ruszyć. Gorączka ponad 40 stopni, więc lekarz go wziął do izolatki.

Po paru dniach powiedział mi lekarz, że mam być przygotowana na najgorsze, bo nie ma żadnych możliwości leczenia. Jest nadal ponad 40 stopni, chyba to będzie koniec. W tym samym dniu, kiedy mi to lekarz powiedział, a ja cały czas, dzień i noc siedziałam przy mężu, wezwali wszystkich do komendanta, ja nawet nie wiedziałam o tym, u męża nastąpił kryzys. Gorączka mu wieczorem spadła. Był jeszcze bezwładny, ale gorączka spadła. Nazajutrz przychodzę do baraku, a tam szum na posiołku. Miałam tam bliską przyjaciółkę, jeszcze z domu, Marysię, pytam ją, co jest, a ona, że jesteśmy wolni. Sikorski zawarł układ i na tej podstawie wszystkich zwalniają. Wszyscy w posiołku zaczęli zbierać się do wyjazdu. Pakują się, każdy coś miał - waty kupiliśmy, zrobiliśmy sobie z tej waty poduszki, trochę się czło-



wiek przez ten rok urządził w tym życiu, trochę flaneli, żeby zrobić koce.

Wszyscy się pakują, a mąż bezwładny całkowicie. Poszedłem do komendanta i proszę go: - "Co ja mam zrobić." Już połowa wyjechała, już tylko kilka rodzin zostało. Nie pamiętam, jakim sposobem załatwił mi furmankę. Przywiązaliśmy męża sznurami do furmanki - bo to trzeba było jechać ileś kilometrów do takiej małej stacji, skąd kolej jechała do Kotłasu. Ale stamtąd pociąg szedł rano, a my wyjeżdżaliśmy w przeddzień. On szedł o 5.00 czy o 6.00. Wiózł nas Rosjanin. Mówi: - "Może kogoś tu poprosimy to was przenocuje." Zawiózł nas do jednego, zapukał. Ja wchodzę, ten ten do mnie po rosyjsku, ale często z polskim, mówi: - "Mój ojciec był z Polski, ja was wezmę." Pozwolił położyć męża na podłodze i tego rosyjskiego chłopca, który musiał nas jeszcze dowieźć do wagonu. Rano w dwójkę pomogli i tak ułokowaliśmy się w wagonie i wrzuciliśmy tę kopę rzeczy, które mieliśmy ze sobą.

Przyjechaliśmy do Kotłasu. Teraz trzeba się było dostać do szpitala. Naczelnik stacji zadzwonił do pogotowia, po karetkę. Karetka przyjechała, położyli męża. To jest nie do opowiedzenia. Większość Polaków, która wracała z Kołomy, z wszystkich obozów, strasznie była chora. Kotłas był główną stacją, przez którą jechało się dalej. Szpitale były przepełnione. A tu należało załatwić, żeby przyjęli do szpitala. Udało się. Było łóżko, w szpitalu leżało dwóch Rosjan, ale przeważnie Polacy. Warunki były straszne. I też żadnej diagnozy. Mąż nie ruszał wtedy ani rękami, ani nogami.

.R.: Co było w szpitalu, już pamiętam. W pokoiku, gdzie leżałem, było pięć osób. Jeden Turek z Murmańska, pracował gdzieś przy okrętach, był całkowicie sparaliżowany. Drugi to chłopak z

Sosnowca, Żyd oczywiście. Wracał z Kołomy. Jechali do Kotłasu, po drodze chciało mu się pić i najadł się śniegu. Dostał zapalenia płuc. Więcej był nieprzytomny jak przytomny, z gorączki. Nie było dla tego chłopca żadnego ratunku, żadnej pomocy, bo nie było lekarstw. Prosił nas, że jak umrze, a my wrócimy, żeby powiedzieć rodzinie, matce - miał 20 lat. Był jeszcze w moim pokoju młody człowiek chory na cyngę, na awitaminozę, Polak. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem, nie mogę w ogóle wspominać. Tylko czaszkę widać było, że ma normalną. Na twarzy widać było tylko oczodoły, wszystko czerwone. Czerwone to i się łuszczyło. Tak bardzo chciał żyć. Oni wszyscy umarli. Poza tym jednym Turkiem, wszyscy byli Polakami.

A my spotkaliśmy starszą Polkę, masażystkę, która nam pomogła. Zaczęła masować nogi.

M.R.: Ja byłam w ciąży. Kiedy zawiozłam męża do szpitala, wyszłam. Trzeba było gdzieś pójść spać. Nasze rzeczy zostawiłam na dworcu, na przechowalni. Było już szarawo. Puszczali tych z obozu. Strach było w ogóle iść, w mieście kręciło się pełno wypuszczonych z obozów, a ze szpitala na dworzec był kawał drogi. Szłam na dworzec, żeby tam usiąść i pospać do rana. Rano znów z powrotem do szpitala. I szła taka starsza kobieta, na przeciwko mnie. Podeszła do mnie i mówi: - "Dziewczynko, gdzie ty idziesz, już tak ciemno?" A ja mówię, że idę na dworzec. Zapytała czy wyjeżdżam. - "Nie, idę spać." - "Co ty tu robisz?" - pyta. To jej mówię, że mąż w szpitalu, ja tu nikogo nie znam i idę na dworzec, żeby tam przenocować, Ona tak na mnie patrzy, i pyta skąd jestem. Mówię - z Polski. Jeszcze do mnie powiedziała: - "Polaczka". Zabrała mnie do siebie do domu. Dała mi jeść, chyba zsiadłe mleko z kartoflami, czy coś takiego. Posłała mi na podłódze tak czysto, koc i coś pod głowę mi dała. Tylko, że

myszyc całą noc latały. Ale się przespałam. Rano też mnie nakarmiła. I powiedziała: - "Gdybyś nie miała gdzie pójść, przyjdź do mnie na drugą noc. Nie chodź po kotłarni po ulicach, gdy jest ciemno, bo tu nie jest bezpiecznie." No ale ja potem zamieszkałam u takiej sanitariuszki, która pracowała w szpitalu. Co miałam, to jej oddałam, dałam jej kufajkę, dałam jej wszystko i u niej zamieszkałam.

Z naszego posiołku leżał jeszcze w męża pokoju student medycyny. Jego żona przywiozła go chyba wcześniej, przed nami jeszcze Tamten jeszcze chodził. Ale też tam zmarł. I to ze względu na brak opieki lekarskiej. To było w ogóle nie do opisania. Warunki zupełnie nieludzkie, szpital przepełniony, a bardzo prymitywny. Przepełniony po brzegi, leki byle jakie, wyżywienie - dostawali trochę jedzenia trzy razy dziennie, ale żadnej możliwości dokarmiania nie było.

Posiłki w tym szpitalu były bardzo małe. Nie dawali większych przydziałów chleba, bo to już przecież była wojna. Wszystko było przydziałowe. Ale najgorsze - te warunki, to otoczenie. Ja go karmiłam, więc rano dawali kawałek chleba, czasem trochę jaglanej kaszy i chyba kipyatki. Na obiad często zupę z pokrzywy, taką wodnistą, mięsa nie pamiętam. Troszkę kartofli a raczej trochę kaszy. Ja go karmiłam i zawsze pytał, jadłś? - nie ale ja zaraz pójde i zjem. Schudłam w ciągu 9 miesięcy 19 kg. A na kolację też chyba trochę zupy, albo trochę kaszy. I przydział chleba dwa razy dziennie. Pamiętam, że coś wymieniłam, chyba koszulę, coś kupiłam do jedzenia. Leżał tam ten Polak chory na cynamon. Nie wolno mu było jeść, pił tylko mleko. Boże jak on krzyczał, żeby mi dała. A ja strasznie się bałam, że mu zaszkodzi, ale troszkę mu zaniosiłam. A on mówi: - "Ja wolę raz zjeść i umrzeć." Jedzenie było strasznie marnie, ale trzy

razy dziennie i ciepłe.

Ja cały dzień zajmowałam się mężem i wszystkimi, którzy leżeli dookoła. Ten student, gdyby miał jakiegokolwiek leczenie, żyłby. Jeszcze w nocy krzyczał, pić mu się chciało, poszedł, napił się zimnej wody, w tej gorączce, zmarł.

Higieniczne warunki - straszne. Potem zwozili coraz liczniej ludzi z różnych obozów. Chorych kładli na ziemi i między tymi chorymi się chodziło. To było wielkie szczęście, że mój mąż miał łóżko. Jak wyjeżdżaliśmy z mężem to już nie można było przejść.

Pamiętam tego młodego chłopaka. Jego widok cały czas mnie prześladowuje. Sliczny, młody, zdrowy chłopak. On tak bardzo chciał żyć i mógł żyć, gdyby trochę o niego zadbali. A siostry były straszne, traktowały ludzi jak psy. Wynosiły nieboszczyków i śmiały się, rozmawiały, jak by to było wesele jakieś. Co chwilę kogoś zasłaniali takim parawanem i już ktoś umierał. Dlatego tak strasznie chciałam uciec z Kotłas. A przecież, jak potem się człowiek zastanowił, to nie podjął by takiej decyzji.

Mąż tam był od sierpnia do października. Jak tylko zaczął chodzić, nauczyliśmy go z tą panią Polką. Trzymałyśmy go. Jak zaczął chodzić, postanowiłam wyjechać. Mój brat znalazł się wtedy na południu. Miałam z nim kontakt listowy. I chcieliśmy do niego. My byliśmy w Kotłasie, a on za Stalingradem. Umówiłam się z kimś ze szpitala, że dadzą mi karetkę i zawiozą mi męża do pociągu. Te trochę rzeczy. I powiedzieli, że mam jechać do Permu, do Nołotowa i stamtąd wodą mi się uda dojechać do Wołgi. Więc te trochę rzeczy, co miałam, nadałam na bagaż do Permu, na stację. Karetka pogotowia przywiozła mi męża do pociągu. Ułożyliśmy go na ławce. Pociąg miał iść do Permu. Tymczasem w Ki

rowie kazali nam wszystkim wysiaść. Jakimś cudem jacyś dwaj żołnierze pomogli mi wrzucić do pociągu jadącego do Permu, gdzie się przesiadaliśmy. W Permie mąż leżał na podłodze na stacji i czekaliśmy na tę trochę rzeczy, które szły pocztą. To że przyszły, to tylko cud jakiś. Mieliśmy trochę sucharów, pieniędzy nie mieliśmy, jeszcze coś sprzedawałam z rzeczy. Wtedy coś ze 400.- rubli nazbierałam. Wykupiłam bilet statkiem, żeby dojechać do Permu.

Dojechaliśmy, była to nasza jeszcze najmożliwsza droga. Tam trzeba było już wyjść bo wpadała do Wołgi. Zaczęła się gehenna, żeby się dostać na jakiś statek, mąż chodził, to było to jedno szczęście. Musiałam go jeszcze karmić. Gdzie to było, czy w Juliańsku - nie wiem. Już statek ruszał, my wskoczyliśmy, zeszliśmy tam na dół. Pełno wszy, jechało pełno zesłańców, nic do jedzenia. I tak pokotem wszyscy, a on chory, brak miejsca do leżenia. Podjeżdżamy bliżej Kujbyszewa, bo mówili, że tam jest delegatura, polska władza, i blisko już podjeżdżamy, a tu przyjeżdża barka, wszystkich nas wyrzucają ze statku, na środku wody. I tą barką zawieźli nas do Kujbyszewa. Na przystani ktoś mi pomógł i wyprowadziliśmy męża. Położyłam go na stacji. Ktoś powiedział, że Polakom dają tam jakieś kartki. Ja byłam już trzy miesiące w ciąży. Ja już drugi dzień nie jadłam. Co miałam, dawałam jemu, jego oszukiwałam, że idę do stołówki jeść. Jak powiedzieli, że dają te kartki, to go zostawiłam, prosłam tylko, żeby na niego zwrócili uwagę.

Poleciałam i dostałam kartkę. Była kolejka, ja stanęłam. Naraz pytam jednej kobiety, dlaczego jest tak ciemno. A ona odpowiada, że słońce świeci, że ja jakieś bzdury opowiadam. I naraz czuję, że ktoś mnie budzi i otwiera mi rękę z kartką. Okazuje się, że ja zemdlałam. Jakiś starszy pan, który mówił

po polsku, mówi: - "Niech się pani nie boi, ja pani kartki nie zabiorę. Ja tylko chcę pani wziąć chleb bez kolejki." Wziął kartkę i poszedł. I mówi: - "Dziecino zjedz kawałek." A ja: - "Nie, nie." On mówi: - "Zjedz, ja wiem dlaczego zemdlałaś."

No a potem różnymi statkami w strasznych warunkach - trzema statkami - dostaliśmy się do Stalingradu. Brat był po drugiej stronie Wołgi. Ludzie patrzają na nas jak na wariatów, Niemcy podchodzą, a my sobie z tego nie zdawaliśmy sprawy. - "Niemcy podchodzą, gdzie wyście przyjechali?" No i ostatnim tramwajem wodnym przypłynęliśmy Wołgę. Dostaliśmy się tam gdzie był brat. W strasznym głodzie, w strasznych warunkach. Poszukaliśmy lekarza. Zbadał męża i stwierdził, że mąż zachorował na skutek ukąszenia kleszcza. Dopiero ten lekarz stwierdził, że to jest kleszczowe zapalenie mózgu.

Ciąża już była zaawansowana. Zaczęłam pracować, Mąż wtedy zaczął już ruszać lewą ręką. I poród. Strasznie mówić. Do lekarza dostawałam się pierwszy raz na dwa tygodnie przed porodem. Urodziłam w domu, przyjechała sąsiadka. Trzeba jechać do szpitala. Mąż się nie rusza. Brat załatwił żelazną karetkę, taką blaszaną karetkę. Dziecko owinęło się czym było, a mnie wzięli na nosze. Była straszna zanieć. Jechaliśmy trzy kilometry, trzy kilometry zaledwie, a trwało to półtorej godziny. Nie było nic widac na kilka centymetrów. To była tak zwana purga. Tam wiatr nie ma oparcia, stalingradzkie jest bez lasów, to sam piasek. I przywieźli mnie do szpitala, położyli w sieni, póki tam miejsca nie zrobili, no i potem położyli mnie na łóżku. Pierwszego dnia jeść mi nie dali, bo nie było mnie w wypisach na ten dzień. Musiałam być szyta, rodziłam o siódmej rano, a to już była pierwsza. Gdzieś o drugiej, wpół do trzeciej przyszedł lekarz, zabrano mnie do zupełnie nie opalonego pokoju, w takim łodzi,

bez znieczulenia, bez niczego.

Przywieźli mnie w sobotę. Najpierw mi dali dziecko do karmienia. Byłam strasznie głodna. i potem dali taką wczesną kolację. I nagle siada przy mnie pani z czarnymi warkoczami: - "Proszę pani, pani z Polski?" Mówię: -"Tak." - "Ja jestem z Białegostoku." I woła sanitariuszkę, żeby przyniosła jakiś talerzyk i żeby to co jej przynieśli podzieliła. Był to kawałek chleba i sałatka: kapusta kiszona, ogórki i coś jeszcze. Dostałam strasznych spazmów, przypominałam sobie dom, to wszystko. Dostałam zastrzyk na uspokojenie.

A potem najgorsze. Mąż, dziecko, małe, około trzech tygodni, z lekarzem rozmawiałam, żeby męża do szpitala wziąć. Dał skierowanie i z tym małym dzieckiem zawiozłam męża do szpitala. Został w tym szpitalu, a ja z dzieckiem wróciłam do Stalingradu.

Tam już Niemcy, pełno rannych. I mamy się ewakuować. Ja pracowałam w Domu **M**łodzieży Hiszpańskiej. Były tam dzieci hiszpańskie, dzieci tych, co walczyli z Franco, ich dzieci zostały bez rodziców wysłane z hiszpanii tutaj i tutaj były takie domy dziecka. /W 1946 roku dzieci te się rozjechały po Rosji./ Na jutro mamy wyjeżdżać, ja płaczę. Jakies prześcieradła miałam stare, to robiłam pieluszki. Nie miałam mydła, to gotowałam popiół i z tego robiłam żug do prania. Męża nie ma, jest po drugiej stronie wody. Ja jestem tutaj, nas mają ewakuować, a jego nie ma.

.R.: Zrobiono zebranie w tym szpitalu. Powiedzieli, że kto może, a właściwie, że wszyscy powinni wyjechać i to szybko, bo to ostatni moment. Kto ma rodzinę, obojętnie, ale należy wyjechać, bo tu będzie piekło. Niemcy są już pod Stalingradem, zaminowali już Wołgę. I każdy na własną rękę niech ucieka - bo oni nie mają żadnej możliwości nas ewakuować. No zdecydowałam się

się. Pobiegłem do tego portu rzeczno- i ostatnim tramwajem wodnym /to są takie małe stateczki/ wyjechałem. I to było tak: ja przyjechałem dziś, a na drugi dzień ewakuowano moją żonę. M.R.: Ja stałem przy balii na podwórku, na tarze prałam w ługu pieluszki i płakałam strasznie. Naraz podnoszę głowę - on idzie. To przeznaczenie jakieś.

My nie mieliśmy zamiaru dostać się do armii Andersa. Mąż przecież tylko ruszał nogami. To było coś straszno- go. Dziecko było małe, ja pracowałam ich obydwu myłam, męża goliłam, karmiłam dziecko i leciałam na trzy godziny do pracy. Co trzy godziny wolno mi było lecieć nakarmić dziecko. To przylatywałam - jego nakarmić, dziecko nakarmić i z powrotem do pracy. Tak, Armia Andersa w ogóle nie wchodziła w grę.

Tam było mało Polaków, ale zetknęliśmy się z takim jednym małżeństwem polskim. Jak mogliśmy, tak sobie pomagaliśmy.

Spod Stalingradu ewakuowano nas do Baszkirii, do takiej wsi, gdzie był Dom Dziecka. Na szczęście tam pracowałam i posuwaliśmy się za nimi.

Do Stalingradu przyjechaliśmy w lipcu ale przyszedł wrzesień, więc zimno. Był tam felczer. Zaczęłam się u niego starać, żeby męża umieścić gdzieś w szpitalu. Mówił, że trzeba jechać do Birska, Ufa to jest stolica Baszkirii. Dał mi skierowanie do szpitala. Zapakowałam dziecko w kołdrę. Trzeba było iść 14 km do kolei, do Czyżmy i potem pociągiem do Ufy. Tatarka, u której mieszkaliśmy miała znajomą Tatarkę w Ufie, dała nam adres i powiedziała, że tamta nas przenocuje. Nie pamiętam, jak się dostaliśmy do tego pociągu. Przenocowaliśmy u tej Tatar- ki i rano, tak jak poradził felczer, poszliśmy do ich ministerstwa zdrowia w Ufie, żeby dali skierowanie do szpitala. Były tam schody, mąż siedział na dole, a ja z dzieckiem weszłam na górę



do wydziału zdrowia czy opieki nad szpitalami. Dostałam skierowanie, ale miał męża jeszcze zobaczyć prof. Sawczyn. Weszliśmy, profesor spojrzął, kazał mężowi wyjść a do mnie mówi: - "Nie ma tu o czym marzyć. Trzeba oddać go do nieuleczalnie chorych, bo z niego już nic nie będzie. Pani ma małe dziecko, trzeba się dzieckiem zająć." Zaczęłam strasznie płakać i mówię: - "Jak to?!" A on: - "Nie, ja mam tutaj ludzi, którym można pomóc." Wyszłam, mąż pyta, co jest, a ja, ach nic, chodź. W tej furii, z dzieckiem, na szczęście nie było daleko, z powrotem do ministerstwa zdrowia, a tu portier nas nie chce wpuścić. A ja nic, mąż został na dole on tam na schodach usiadł, ja z dzieckiem, na te schody, portier za mną. I z tym dzieckiem wepchnęłam się do sekretariatu ministra. Powiedziałam, że ja muszę się dostać do ministra. Sekretarka mówi, że nie można, bo konferencja. To ja czekam. Zaczęłam karmić dziecko i czekam. Słyszę ruch, Wstałam. Wychodzą. Pytam, który to minister, a sekretarka blada i trzęsie się, strasznie się bała. A taki Baszkir mówi: - "Ja." Mówię: - "A ja do was." On tak patrzy, każe mi usiąść i pyta, co chcę. A ja psychicznie nie wytrzymałam i zaczęłam strasznie płakać. Nie mogłam powiedzieć co chcę. On mówi: - "Ja wszystko zrobię, ale powiedz, co chcesz." To mu powiedziałam, jaka jest sytuacja. Mówię, że wracam od dyżurnego lekarza, że mam to skierowanie od was, ale tam mi go nie chcą przyjąć, a ja go nie mogę już zabrać. Wezwał tego dyżurnego lekarza: - "Niech tego Polaka zabiorą, bo kobieta z dzieckiem, niech go jakoś umieszczą." Poszłam i zostawiłam tam męża.

Nazajutrz miałam pociąg o pierwszej. Do szpitala bałam się pójść, żeby mi go nie oddali. Przyszłam na dworzec, miałam 18 kopiejek. Byłam z dzieckiem, nie jadłam od zeszłego dnia. I tak siedząc widziałam, jak tacy brudni Kirgizi lepioszki jedli

i żaden nie pomyśli, żeby mnie poczęstować. A ja byłam głodna. Nadszedł pociąg, wsiadłam, zaczęłam karmić dziecko. Karmiłam go cały czas, ale on jeź nie miał co ciągnąć. Siedziała tam kobieta. Ja chyba z tego głodu zaczęłam drzemać. A ona zapytała dokąd jadę, Odpowiedziałam, do Czyżny. I ta starsza kobieta mówi, to już jest Czyżna. Wyszłam i teraz miałam iść 14 km pieszo. Kupiłam sobie dwie lepioszki z obierek z kartofli. Kosztowały dwadzieścia kopiejek, ale ja miałam tylko 18, ale ona mi dała. Przywiązałam dziecko szłam i jadłam. Musiałam już iść jakiś dwa, trzy kilometry, gdy zobaczyłam jakiegoś listonosza. Jechał bryczka. Widzi mnie, pyta Hiszpanka, Polka? Chodź. I mnie zawiózł. Dowiózł mnie do Domu, gdzie pracowałam. Był tam taki magazyn z bielizną. Pracowała w nim Estonka, był taki kontuar, Pamiętam, że zeszłam z dzieckiem, weszłam do magazynu i położyłam dziecko na kontuarze. Ocknęłam się, jak już nade mnie stali, a ja leżałam na podłodze.

R.: Miałem jeszcze zapalenie płuc w szpitalu, to mnie położyli na korytarzu, gdzie był przeciąg. Uważali, że ja nie będę żył. A ja starałem się, jak tylko mogłem. A przecież ja fizycznie nie byłem dobrze przystosowany do tych ruchów, które pozwoliłyby mi się dobrze okryć. I pewnego dnia, lekarz przychodził codziennie patrzeć, mówi do mnie: - "No nareszcie, bo już nie spodziewałem się, że pan będzie żył. Temperatura spadła, teraz już mogą być spokojny."

M.R.: W Baszkirii byliśmy do 1944 roku. Tam trafiliśmy też do Delegatury. Troszkę nas potraktowali per noga, nikogo nie znałiśmy, przyjechaliśmy z kołchozu. To było w 1943 roku w Birsku, czy w Ufie, chyba w Ufie. Dostaliśmy parę butów, dwa koce nam dali, takie zielone ubranie. Te buty to był 43 rozmiar, ja je nosiłam. Pamiętam później w pracy dawali normalne buty, gdy

Je założyłam praczka powiedziała: - "Boże, a my zawsze mówiliśmy, taka młoda ładna dziewczyna, a czemu ona ma takie straszne nogi."

Z Delegaturą nie mieliśmy stażego kontaktu, bo trzeba było wyjeżdżać, byliśmy bardzo daleko stamtąd. Dopiero jak miałam męża w szpitalu, poszłam do nich i wtedy dostawałam te rzeczy. Zdaje się, że jeszcze trochę żywności. Tam gdzie my byliśmy nie było Polaków, tylko Rosjanie i te dzieci hiszpańskie. Przychodziłam do delegatury, pytałam skąd przyjechałam, i mówiłam, że mąż chory, a oni - że dużo jest chorych. Ja się trochę wstrudziłam prosić. Dla mnie to wszystko było trochę takie... Byłam szczęśliwa za to co dostawałam, ale wstydziałam się, że muszę wziąć.

Gdy byliśmy w Baszkirii, zawołali nas i dali nam paszporty radzieckie, ale musiały być w nim jakiś wpis o Polsce, bo gdzie poszłam, to wszyscy mówili: - "A, polski." Teraz sobie to uświadomiłam.

Zaczęła się repatriacja, a mąż w szpitalu, chciałam go podleczyć. Jak w 1945 roku skończyła się wojna, to mąż leżał w szpitalu, 6 miesięcy. Chciałam go ratować, to był młody człowiek.

DR.: Ta choroba jest rozpowszechniona tylko w obszarach Syberii, północy, w tych olbrzymich lasach, tylko tam ten kleszcz jest taki niebezpieczny. Ta choroba tam też była nieznaną, jeszcze nie rozpracowaną. Jest taki profesor Czubatow w Moskwie, słynny, który był w ekspedycji i odkrył tą chorobę, ale jednocześnie sam padł ofiarą tego kleszcza. On jest znany, nawet tutaj w Polsce, on do Polski przyjeżdżał. Nieszczęściem dodatkowym było to, że kiedy się ze mną to wszystko stało, nikt się na północy i nigdzie gdzie ja jechałam tej choroby nie znali. Leczyli mnie na grypę, bo to podobne symptomy. Dlatego w leczeniu uległam bar-

dzo dużemu zaniedbaniu, a miałem okresy, gdzie prawa ręka już była prawie dobra. Przerzucało się z lewej na prawa, a lewa potem zupełnie przestała. Tak, że to leczenie było też takie... Leżałem w tym szpitalu i właściwie oni czerpali tylko wiedzę ze mnie, sami nie wiedząc jeszcze jak i co.

M.R.: Mąż dostał inwalidztwo I-szej grupy i pensję przysługującą inwalidzie i-szej grupy. Ma porażenie mięśni szyjnych, bezwład nóg. Ja pracowałam. "Mój" Dom Młodzieży Hiszpańskiej przyjechał pod Moskwę, tam zetknęliśmy się z Polakami. Potem pracowałam w ambasadzie polskiej w Moskwie. Mąż był w szpitalu, ten profesor Czumachow, który sam też był chory bardzo się mężem zajął. On chyba miał wyjątkowy sentyment dla Polski, bo miał dwa skierowania do sanatorium na cały Związek Radziecki dla takich chorych i jedno nam dał. To było sanatorium na Krymie. Mąż był trzy miesiące na leczeniu, chyba w 1946 roku. Dlatego mnie wtedy znajomi załatwili, żebym mogła pracować w ambasadzie, żebym jeszcze mogła przebywać w ZSRR. W Ambasadzie najpierw byłam telefonistką, przy telefonach. Potem jeszcze sobie dorabiałam - robili tam kartoteki, w konsulacie i my pisaliśmy te nazwiska. To było dla tych, co powracali z obozów.

Należeliśmy do Związku Patriotów Polskich, jeszcze w Birsku zapisaliśmy się. Zapisaliśmy się, bo wierzyliśmy, że do Polski jedziemy, że to są Polacy. Delegatura przestała istnieć, Człowiek się tam nie pytał kto, co, jak. Związek Patriotów Polskich, to znaczy Polacy. Byliśmy przecież bardzo izolowani. Nie mieliśmy kontaktu z Polonią. Naraz się okazuje, że tu się coś z Polska dzieje, że można wracać, świadomości jaka jest różnica między delegaturą Sikorskiego a ZPP nie mieliśmy. Wiedzieliśmy tylko, że Anders uciekł, i że trzeba było, że wywiózł Polaków. Przynam się szczerze, że mieliśmy tak straszne warunki, że człowiek

patrzył tylko, żeby przeżyć z dnia na dzień. Niestety taka była sytuacja, żeby z głodu nie umrzeć, żeby nakarmić dziecko, żeby siebie, męża, a więcej...

Do Polski wróciliśmy w 1947 roku 30 września. Normalnie, transportami. Odwołali nas, mieliśmy kontrakt tylko na rok, póki mąż był w szpitalu. Ja jeszcze uprosiłam o miesiąc, żeby mąż mógł być do końca w sanatorium. Mieliśmy już paszporty - jak poszłam do pracy, z miejsca dostaliśmy polskie paszporty.

Wróciliśmy i zatrzymaliśmy się u znajomych w Warszawie. Od razu do Warszawy. Po powrocie baliśmy się mówić, że byliśmy na zesłaniu. Nigdzie nie pisaliśmy o tym, w żadnym życiorysie do pracy, nigdzie nie pisaliśmy, że byliśmy na zesłaniu. Pisaliśmy, że pracowaliśmy jako drwale, w ośrodku. Baliśmy się. I jeszcze jaka tragedia z tą naszą sprawą. Mąż dostał tam inwalidztwo I-szej grupy, ale baliśmy się podać, że stało się to na zesłaniu. I nikomu o tym nie mówiliśmy, że dostał to od ugryzienia kleszcza. Z Rosji przesłali dokumenty i na stary portfel mąż dostał 115.- złotych emerytury miesięcznej. Więc mąż poszedł do pracy. Pracował do 65 roku życia. Początkowo te 115.- złotych braliśmy, a potem trzeba pójść na komisję. Zdawałam sobie sprawę, że jak mąż tam pójdzie, zabronią mu pracować jako inwalidzie pierwszej grupy. I zrezygnowaliśmy w ogóle z tej emerytury. Mąż cały czas pracował. Dopiero, jak poszedł na emeryturę i od razu dostał rentę pierwszej grupy, uznaliśmy za stosowne, żeby się zwrócić, żeby nam Rosja płaciła emeryturę męża dalej. ZUS wystąpił, ale w Rosji odmówili tej emerytury, bo u nich jest zapisane, że to choroba nie w czasie pracy.

Jak te doświadczenia wpłynęły na nasze życie? Ja jestem wielką optymistką, nawet tam w najgorszych okresach. To chyba w moim charakterze leżało - radość życia i dlatego u nas nigdy

w domu nie czuło się, że jest chory człowiek. Mąż jest równym naszym partnerem, bardzo dobrym ojcem, szanowanym, a my mamy syna bardzo wykształconego, uczonego. Bóg nam tym zapłacił. A doświadczenie? Ja wiem, muszą powiedzieć, że zaznałam od ludzi dużo dobrego, jak ta kobieta, co mnie z ulicy zabrała, profesor, różni ludzie. Spotkałam też złych ludzi - wchodzi do jakiegoś urzędu po jakiś przydział - a tu bestia." Jeszcze Polaków będę karmił." Tak że to bardzo różnie. Ale się przyznam, że... Teraz sobie dopiero zdaję z tego sprawę, że ja sobie wymazałam to wszystko ze swojej świadomości. Dopiero ostatnio jak sybiryacy, zaczęli tak tutaj... Wcześniej starałam się w ogóle wymazać to ze swojej pamięci. Żeby to na nas nie ciążyło. Żeby ten dom był domem. Ja swojemu synowi bardzo mało o tym opowiadałam. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale nie chciałam go zatruwać. Teraz, gdy już jest dorosły, to on wszystko wie, ale starałam się żyć normalnym życiem. A tanto zahartowało i uodporniło na życie. Może to jest związane z usposobieniem, może wychowaniem, nie wiem. My przed nikim nie opowiadaliśmy, nie płakaliśmy, pierwszy raz w życiu tak opowiadałam. Nigdy nikomu tak dokładnie tego nie opowiedziałam. W ogóle nie mówiliśmy. Trochę się baliśmy, to taki wewnętrzny strach.